GONIEC
TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

№ 16. Warszawa, dnia 7 (19) Kwietnia 1877 r.



Michał Bałucki.

Michał Bałucki.

Gdyby się kiedy Panu Bogu podobało zesłać nowego smoka do Krakusowego grodu, coby powyżerał nietylko wszystkie jego barany ale i wszystkich jego mieszkańców, Bałucki każdego z nich potrafiłby wskrzesić piórem i odtworzyć z tą fotograficzną wiernością, jaką się niemal wszystkie jego kreacye odznaczają.

I nic w tém nie ma dziwnego; od dzieciństwa podglądał on życie i ludzi w swojem rodzinnem mieście, a zmysłem spostrzegawczym chwytał wszystkie rysy charakterystyczne tamtejszego społeczeństwa, uplastyczniając je w ciągu swego literackiego zawodu to w luźnych powieściach, to w komedyach z powodzeniem przedstawianych na scenie.

Bałucki jest z krwi i kości dzieckiem Krakowa; tam się urodził w r. 1837, tam ukończył studya w 1861, tam wreszcie dorobił się swojéj sławy pisarskiéj i uznania talentu.

Liczne stosunki i rozgłos autorski uczyniły go tam jedną z najpopularniejszych osobistości miasta. Był czas kiedy opinja miejscowa przypisywała mu monopol rysowania najtrafniejszych wzorków z życia towarzyskiego i publicznego, pisywania najdowcipniejszych wierszy i złośliwych uwag, kiedy go niejako uważano za jeneralnego sekretarza wszystkich tajemnic Krakowa, przed którego bystrem, spostrzegawczem okiem nic się ukryć, nic zamaskować nie zdołało.

Dziecko Krakowa, ukochał on też bardzo swoje rodzinne gniazdo, ale nie tą ślepą pobłażliwą miłością, wyrozumiałą dla wszystkich jego złych i śmiesznych stron. Zapatrzony może zanadto w ten mały obszar otaczających go stosunków stał się wybornym ich znawcą, ale też ściągnął na siebie zarzut, iż jest pisarzem lokalnym, a badaniem co prawda pewnych tylko poziomów nabył specyalność przedstawiania pewnych sfer, mianowicie mieszczańskich—z których umie wyłącznie, może sam jeden, zabierać żywcem wybitne postacie i typy, jak nikt inny.

W pierwszych obszerniejszych powieściach swoich „Młodzi i starzy,“ i „Przebudzeni“ okazał się pisarzem głębiéj patrzącym w swoje społeczeństwo, chociaż tylko ze stanowiska na gruncie krakowskim. Należąc do tak zwanego obozu demokratycznego nie dał się nigdy porwać kołowaciźnie przeciwnéj partyi, która mu z czasem niestety, wielu towarzyszy z pod boku odciągnęła.

Wytrwały w swoich zasadach, nigdy nie kaptował sobie względów klasy, posiadającéj uprzywilejowane wpływy w Krakowie. Wbrew własnym interesom cenił i ceni zawsze wyżéj swoje przekonania, aniżeli wszelkie możliwe korzyści, jakieby z zaparcia się pierwszych mógł był dotychczas osiągnąć.

We wszystkich utworach Bałuckiego przebija się uczciwa i zdrowa tendencya, a tam gdzie wyśmiewa ujemne strony społeczeństwa czuć, że opiera się na słuszności. Jeżeli gryzie, jak mówi poeta, to sercem gryzie.

Tendencyjność ta silniéj występuje u niego na jaw w utworach scenicznych niż powieściowych. *Polowanie na męża*, jedna z najlepszych kreacyi Bałuckiego pod względem właśnie owéj dążności, *Emancypowane*, *Pozłacana młodzież*, największéj popularni *Radcy pana Radcy*, *Pracowici próżniacy*, a obecnie z wielką prawdą i znajomością opłakanych stosunków galicyjskich nakreślona *Komedya z oświatą*, — wszystko to nosi wybitną cechę autora znającego i śledzącego uważnie błędy i usterki swego społeczeństwa. Co prawda, nieraz zarzucają mu nieco za ograniczony widnokrąg studyów, koloryt nadto lokalny, pobieżność w traktowaniu całości, ale i najsurowsi przyznać mu muszą wyborną znajomość sceny, humor, dowcip i żywość akcyi, co wszystko sprawia, iż komedye jego znajdują prawie zawsze dobre przyjęcie u publiczności, chociaż im krytyka to i owo wytknąć potrafi.

Już to gdzie chodzi o humor, tam Bałucki umie stworzyć sobie skuteczne efekta; pisząc komedye jaką, zdaje się, jakoby miał ciągle na myśli, aby się publiczność nie znudziła.

Z zapobiegliwością dobrego gospodarza stara się o rozerwanie swoich słuchaczy i o pobudzenie ich do wesołego śmiechu. Czasem mu to na złe wychodzi, ale częściéj na dobre, zwłaszcza tam, gdzie go przedmiot nie krępuje, jak np. w wybornym obrazku p. t. *Teatr amatorski*. Reżyserya sceny naszej przygotowuje go podobno wkrótce do wystawienia w teatrze Rozmaitości.

Jako powieściopisarz, należy Bałucki do najpłodniejszych w rządzie młodszych autorów. Stworzył on w stosunkowo krótkim czasie przeszło trzydzieści utworów powieściowych, większych rozmiarów.

Dawniéj pisywał pod pseudonimem *Elpidona*.

Znając dobrze Tatry i lud góralski, obrobił z serdecznem ciepłem kilka poetycznych tematów ludowych, jak „Ojcowska wola,“ „Siostry“ a wreszcie umyślnie dla ludu napisaną rzecz: „Zaklęte pieniądze.“

„Żydówka,“ „Z obozu do obozu,“ „O kawał ziemi,“ akcentują silnie postępowe i społeczne poglądy autora. Bałucki jako powieściopisarz ma jedną wielką zaletę, oto umie czytelnika do końca zainteresować opowiadaniem swojem, żywością obrazowania, pięknym dyalogiem ubarwionym zazwyczaj poważniejszemi zwrotami, a zwłaszcza doborem typów i charakterów. Jest w jego niektórych obrazkach wiele poetycznych odcieni, niby zabytków owego usposobienia młodzieńczego, kiedy jeszcze na imię literackie zarabiał sobie wierszykami i poematami, stanowiącemi dość spory zbiorek z owych czasów.

W roku 1867 Bałucki wspólnie z Alfredem Szczepańskim redagowali w Krakowie bellestryczne pismo dla kobiet pod tyt. „Kalina.“ Wówczas to, zapełniając nieraz sam z konieczności całe numera, nabrał téj zadziwiającéj wprawy i łatwości w pisaniu, w czém dawniéj jeszcze ćwiczył się należąc do redakcyi „Niewiasty,“ wydawanéj przez J. Turowskiego.

Bałucki spotrzebowuje swoje prace głównie w wydawnictwie warszawskiem i zasila je często i obficie, bo w Galicyi nie miałby na tyle sposobności przy dwu jedynie pismach bellestrycznych, nie bardzo zresztą prosperujących.

Pomimo takiéj płodności pisarskiéj, posiada on jeszcze w swéj tece zapasów mnóstwo, mając dobry zwyczaj notowania wszystkich ważniejszych spostrzeżeń i pomysłów. W ostatnich czasach zwrócił się bardzo szczęśliwie do pisania nowelek, z których jedną w roku zeszłym *Wiek* w feljetonie wydrukował, a drugą niedawno ukończył drukować *Tygodnik powieści i romansów*.

Obecnie przygnieciony smutkiem po stracie ukochanéj żony, z którą roku nawet nie przeżył, — odłożył pióro i milczy zbolały....

Mamy nadzieję, że tak uzdolniony pisarz i sympatyczny, nie zakończy swéj karyery literackiéj na tém, co dotychczas utworzył, zwłaszcza że ogół ma prawo wymagać od niego jeszcze więcéj z zasady, iż od tego tylko się żąda, który dać może, gdy zechce.

A na chęci mu zbraknąć z wielu powodów nie powinno.

ar.

WENECYA.

Z włoskiego

C. A. Levi.

Jak zjawisko jakieś złudne,
Istna morza ta królowa
Z fal powodzi pyszna wschodzi—
A w błękicie skroń swą chowa;
Bizantyjskie gmachy cudne
Na klasycznéj wzrosłe ziemi,
Tu wdziękami lśnią wschodniemi.

Jéj kościoły i wieżyce,
Jéj pałaców płaskie dachy
Strojne w spiże. Złote krzyże
I jéj kopuł srebrne blachy
Odzwierciadla lagun lice;
A jéj stopy marmurowe
Zmywa ze czcią morze płowe.

Słońca złocą ją promienie,
Mrok w objęciu swem namiętnem,
W tajemnicze i zwodnicze,
A z urokiem jakimś smętnym,
W zagadkowe stroi cienie.
Morze zdala ku niéj wzdycha,
A królowa mówi z cicha:

„Czemu nocą przy gwiazd blasku,
Przy księżyca świetle drżącym,
Rzucasz łoże lube morze
Mnie zostawiasz w świecie śpiącym
Samą... aż do jutrzni brzasku—
Gdzież to fala cię uniosła?“
Milczy woda—milczą wiosła.

„Pomnę, jak dawnemi czasy,
Nad powierzchnią twoją szklistą
Wciąż piosenki brzmiały dźwięki,
Wszystko w dal umknęło mglistą!
W przeszłość tę tak pełną krasy
I w świetności strojną mary,
Gdyś książęce niósł mi dary!“

„Pod me stopy tron tyś rzucił,
I koroną skron ozdobił —
W długie lata panią świata
Adrjatyku tyś mnie zrobił!
Dzisiaj wołam byś mi wrócił
Twe pieszczoty! Świetność dawną
W méj historyi taką sławną.“

Morze zdala odpowiada
Tym jéj skargom, tym jéj żalom
Jéj westchnieniu, w wiatru tchnieniu,
Jéj szemrzących lagun falom:
„Piękna moja, biada, biada!“
I w dalekiéj od niéj stronie
Głos ten tęskny niknie, tonie.

„Sławie twéj zawistne rzeki
Chciwie się do lagun garną
W wód twych zdroje. Trud mój, znoje,
Wszelka walka moja marną!
Cofam, cofam się na wieki,
A gdzie dzisiaj są topiele,
Zwolna luba grób ci ścielę!“

Tam gdzie lew skrzydlaty leży
Gdzie dziś tłumy gwarne krążą
Pod kolumny, gdzie tum dumny
Gdzie arkady gmachy wiążą.
Groźnem echem głos ten bieży...
„I czyż nikt nie będzie w sile
Wyrwać—wyrwać cię mogile?!“

Wenecya.

Edmund Łoziński.

ROMANS ADELINY PATTI.

(*Dalszy ciąg*).

Przyszła noc.

A była ona po chłodnym jesiennym wieczorze jeszcze zimniejszą—ponura, cicha, posępna.

Adelina usnąć nie mogła... Myśli gwałtowne cisnęły się do jéj skroni i rozpierały je z szaloną siłą... Był że to zawód, pierwszy zawód przy pierwszém serca uderzeniu?

Zerwała się z łóżka i pobiegła ku oknu. Otworzyła je i stanęła ręce na krzyż założywszy.

— Więc szczęście tak zawsze prędko odlata... mówiła do siebie... Czyż to miłość.. czyż to jedno i to samo uczucie, dla którego kilku ludzi przezemnie w grób wstąpiło, a którego ja dziś padam ofiarą!... Nie! tak dłużéj zostać nie może—to męczarnie!

Wypogodzony szmat nieba i gwiazdami zdobny nie pocieszył jéj wcale. Łzy spływały z jéj pięknych oczu, łzy żalu...

Nazajutrz blada ze zmęczenia przyszła do śniadania. W sáli jadalnéj zastała już Strakoscha.

Ten począł pilnie przypatrywać się twarzyczce pupilki, z któréj biło jakieś stanowcze postanowienie.

Rumieniec, który tylko na scenie dobywał się na jéj policzki, wystąpił tym razem w całéj swéj krasie.

Strakosch opowiedział jéj swą rozmowę z dyrektorem Gije, co do ugody przedłużającéj kontrakt Adeliny.

— Bardzo żałuję, rzekło dziewczę prowadząc do ust filiżankę, bardzo...

— Czego żałujesz, moje dziecko? zagadnął zaciekawiony Strakosch.

— Żałuję żeś przystał na warunki, umowę bowiem zerwać będzie potrzeba. Zrobisz to dla mnie mój kochany szwagrze... zrobisz! Postanowiłam nie śpiewać więcéj w Londynie!

Przerażony Strakosch omal nie usunął się ze stołka.

— Co, co... jak.. ty nie miałabyś tu śpiewać? to niepodobna duszko...

— Bezwarunkowo... zakonkludowała Adelina... w Londynie śpiewać nie będę. Na zapłatę wszelkich sum z powodu zerwania kontraktu należnych, z góry przystaję.

Strakosch oniemiał — oczom i uszom swoim wierzyć nie chciał, a gdy dorzucić miał zamiar jeszcze kilka słów, Adelina zamykała mu usta rączką, uprzejmie mówiąc:

— Trudno mój drogi—ale tak być musi. Przysięgłam sobie saméj. Wiesz ile razy ci ustępowałam, śpiewając bez najmniejszéj ochoty, spełniałam twoją wolę, obecnie więc ty spełń pierwszą moją prośbę. Chcę ztąd natychmiast wyjechać—powietrze za ciężkie... duszno mi tu jest! Posępne niebo zabije mnie... mgły przygniatają—słońca mi dajcie, pogody, uśmiechu! Jedźmy do Paryża, tam będę śpiewać. Wszędzie... byle nie tu...

A oczy jéj taki miały błagalny wyraz, tak wzywały litości, iż kamień prawie poruszyć by mogły.

— Ależ przedewszystkiem powiedz moja droga dlaczego tak gwałtownie opuszczać chcesz Londyn... Dlaczego?

Pytanie to ją dotknęło. I pierwszy raz w życiu wyrzekła te stanowcze słowa:

— Ja tak chcę i tak być musi.

Wykrzyk ten miał tyle energii, iż Strakosch zamilkł i zgodził się na wszystko.

Kontrakt szczęśliwie rozwiązano a w kilka dni parowiec unosił ją ku Paryżowi, gdzie zima miała być przebytą.

Morze było niespokojne, dzień pochmurny, burza zrywała się co chwila i miotała w różne strony parowcem. Ciągle spadająca mgła moczyła wszystko, tak iż z żagli woda sączyła się jak z gąbki.

Na pokładzie prócz sternika przy rudlu, kilku majtków i jakiejś podróżniczki, nikogo więcéj nie było.

Podczas gdy inni podróżni bawili się czytaniem, rozmową lub też dobrze opakowani w ciepłych kajutach pod opiekę udawali się Morfeusza—Adelina owinięta w gruby wełniany szal, w małym kastorowym kapelusiku o szaréj woalce, siedziała na pokładzie obok rudla nie odrywając oka od rozhukanych bałwanów!

A tak się w dumaniach pogrążyła, iż nie uważała że cała na wskróś przemokła.

Nagle zbudził ją krzyk Strakoscha.

— Na Boga! Adelino! co tu robisz?

Adelina zwróciła się ku niemu spokojnie. Sternik był trzeci lecz milczący zawsze i jakby głuchy.

— Co ja tu robię, pytasz mnie opiekunie, rzekła Adelina... co ja tu robię? Oto na biały brzeg patrzałam dopóki nie znikł mi z oczu. A potém pogrzebałam myślą kogoś — jak się zwyczajnie grzebie na morzu.. cicho bez dzwonu i śpiewów... Umarłego chowa się tu w głębi morza, również jak i w głębi duszy. Coraz nowe fale po-

krywają go... Ani krzyż ani rana nie zdradzą mogiły w morzu, równie jak i w sercu!

— Brzeg... brzeg... co tam brzeg.... gderał zrozpaczony Strakosch... Przecież go nieraz jeszcze widzieć będziesz! Chciéj tylko zrozumiéć, że się tu śmiertelnie zaziębić możesz. No! a kto się raz przeziębi—przepadł... Co tu za wilgoć okropna—uciekaj moje dziecko na dół do kajuty.

— Nie wypędzaj mnie szwagrze... prosiła Adelina... chciałabym przeczekać tu, dopokąd nie ujrzę brzegów Francyi.

— Francyi? nowe szaleństwo! ależ to niedorzeczność?

— Nic zgoła—o nic nie dbam... Ale przepraszam... chcę czegoś.

— Mów, mów droga...

— Chcę we Francyi wyjść za mąż—powiedziała z godnością i pewnością siebie artystka.

— Co? co? co? za mąż — wrzasnął prawie Strakosch i wybuchnął straszliwym śmiechem.

Adelina zdawała się tego śmiechu nie słyszéć.

— Więc powiedz mi, powiedz tak szczerze — prawił Strakosch — za kogo chcesz wyjść na przykład, za kogo? Powiedz! Co najmniéj za wice hrabiego wszak pewno?

— Za wicehrabiego, zimno i spokojnie dorzuciła Adelina.

Strakosch nawet na chwilę nie mógł przypuścić, iż artystka mówi to na seryo.

— A! wiem—za wice hrabiego, za Almavivę zapewne... pojmuję to Rozyno!

Adelina rzuciła nań zaiskrzone spojrzenie.

— Zresztą mniejsza o jego nazwisko... ciągnął Strakosch... lecz gdybym ja—powtarzam—nie zechciał dać pozwolenia?

— W takim razie, szybko rzekła Adelina — pozwoliłabym ci grać rolę... Bartola!

Po złośliwém tém słowie zawinęło się małe bóstewko jeszcze dokładniéj szalem i zszedłszy na dół szepnęło:

— Będę spać...

* *
*

Diva w Paryżu zrobiła furore.

Adelina posiada ten sam przymiot co wino szampańskie: mąci w głowach.

Cały Paryż był w zachwycie nie do opisania.

Pewien bankier ofiarował ogrodnikowi wielką sumę za wyhodowanie nieznanego w Europie nowego gatunku kwiatu, któremuby nadać można imię Adeliny.

Jakiś tam przedstawiciel starożytnéj szlachty wyzywał kogo mógł na pojedynek w lasku bulońskim, byle otoczyć się w oczach *divy* aureolą. Bił się na śniegu—dostał kataru i chrypki a uwagi Adeliny zupełnie nie zwrócił.

Inny klaskał tak zapamiętale, iż nabawił się jakiejś w rękach niemocy.

Saperzy nawet tak zasmakowali w śpiewie Adeliny iż statecznemi byli jéj słuchaczami, niezważając na to, że za opóźnienie się do koszar musieli w ciemnicy pokutować.

Eugenja przyjęła artystkę bardzo łaskawie, obsypała ją czułościami i okazywała jéj względy przyjaciołki.

Cóż mówić nam o przewrocie w modzie przez Adelinę spowodowanym? Rękawiczki, kołnierzyki i... gorsety *à la* Patti.

Czesano się jak ona, jak ona strojono.

Mówią, iż pewien pasztetnik doskonały miał zarobek na pasztetach *à la* Adelina wyrabianych; nie mniejszy też dochód miał fabrykant komputów, przyprawiając je w ulubionym śpiewaczki smaku.

Pewnego dnia miss otrzymała znakomite zaproszenie. Talent roztworzył jéj drzwi Tuillerjów!

Tańczono tam wówczas zapamiętale. Kadryle i kotyljony, szczególniéj protegowała cesarzowa.

Wdzięczne figury tych tańców układał pewien wytworny, przystojny jegomość, który w téj sztuce nie miał ani jednego rywala. Ze zręcznością strategika prowadził on i rozwijał kolumny— z grzecznością salonowca wszystkie tancerki najkorzystniéj przedstawiając.

Piękny jegomość uśmiech miał zawsze na ustach a mówił z taką pewnością siebie i stanowczością, iż najciszéj podane słowo jego rozkazywało tłumom.

Podczas przerw między tańcami towarzyszył on Adelinie—prawiąc jéj wiele słodkich komplementów.

Adelina przyjmowała je uprzejmie w przekonaniu że był to dyrektor dworskich balów—pełniący urząd zdaniem jéj za trzeciego cesarstwa zupełnie naturalny.

Wreszcie przedstawiono go jéj z całą formalnością. Tytuł jego był tak długi iż dziewczę spamiętać go nie mogło. Nazywała go krótko: wice hrabią.

Wice-hrabią jegomość ów rzeczywiście był, a ród jego dobrze stary.

Nazajutrz pośpieszył ze złożeniem wizyty, a na karcie oznajmiającéj wyczytała Adelina:

„Ludwik Sebastyan Henryk Roger de Cagnasac, margrabia de Caux, koniuszy Jego Cesarskiéj Mości.“

(D. c. n.).

LISZT W ROKU 1840.

(*Dokończenie*).

Burza zaniosła mnie aż do Cuxhaven. Możeś kiedy spostrzegł na geograficznych kartach czarny punkt, który nosi to nazwisko. Wszakże nie pojmiesz jaka rozpacz ogarnia człowieka cywilizowanego, zatrzymanego tu przez wiatry i odpływ aż na dwanaście godzin! Można oszaléć lub wścieklizny dostać. Coś podobnego omal się ze mną nie stało!

Dzień upływa jako tako; zabijasz go korespondencyą, przypominając sobie wszystkich od lat wielu zapomnianych przyjaciół i znajomych. Przyobiecujesz im poprawę, zapraszasz do odpisu i jesteś bardzo czułym.

Ale wieczór, wieczór w Cuxhaven! Dzięki opatrzności istnieje pewna opatrzność, która nigdy nie opuszcza nieszczęśliwych!

Przypadkowo dowiadujemy się, że jakaś nieszczęśliwa banda aktorska rozłożyła się tu obozem i zatrudnia się próżniactwem. Nie czyni tego wprawdzie z dobréj woli, lecz z powodu braku... publiczności.

Urządzamy więc natychmiast subskrypcyę. Wszyscy pasażerowie statku „Beurs“ zapisują się; niektórzy nawet z mieszkańców, uwiedzeni złym przykładem, podążają za nami i dopomagają przedsięwzięciu!

Więc ustawiają kulisy, orkiestra rozkłada swoje graty, muzykanci spijają winko, basy nabierają doskonałego humoru, altówki ożywiają się także, a nawet wielki bęben zdobywa się na energię. Lampy płoną a my zapalamy... cygara.

Widowisko rozpoczyna się... grają „Ojca debiutantki.“ Aktorowie są zadowoleni i śmieją się—widzowie także wybuchają śmiechem widząc ich uśmiechniętych.

Każdy patrzy na sąsiada z wyrazem, który zdaje się mówić: *N'est ce pas qu'il est bien drôle que nous soyons là?*

Wodwil skończony; jednak nikt nie wychodzi. Dokąd bowiem pójść o godzinie dziewiątej w Cuxhaven. Więc co począć?

Ale stójcie?... Orkiestra umie zapewne choć jednego straussowskiego walca! Znakomita myśl. Tańczmy! Tańczmy—ale jak? w teatrze? Z nieznajomemi! I dlaczegożby nie—*mesdames?*

Jestem Węgrem, gram znośnie na fortepianie, nie mam znów tak złego wychowania jak tam pierwszy lepszy i ręczę za wszystkich moich towarzyszy — jak za siebie! Czyli: nie ręczę za nic!

Na to nie było można się nie zgodzić. Orkiestra stroi instrumenta i zagrzmiał wreszcie rytm rozkoszny; rytm był tak porywający iż niejedna z krnąbrnych osób uległa jego sile. Runęły wszelkie zasady towarzyskie.

O wielki Straussie! ty to sprawiłeś iż piękne jasnowłose głowy obywatelek z Cuxhaven, spoczęły na naszych ramionach, że wiotkie ich talje dostały się ramionom rozbitków okrętowych. O Straussie cześć ci—cześć!

Godzina i jeszcze godzina, godzinka — i każdy z naszych Donżuanów znalazł swoją Haydée. Ach! dla czegoż uspokoiłaś się przeklęta burzo? Dla czego nie zadąłeś srogi wietrze północny?

* *
*

Nad Renem, nad Renem!

Między Koblencyą i Bonn, u stóp Siedmiogór, obejmuje Ren, jakby miłosnemi ramiony, zieloną, kwitnącą wysepkę.

Była ona kiedyś schronieniem biednych, pustelnią, z któréj hymny dziewic pełne niebiańskiéj ekstazy szły do Boga!

Na wysepce téj stał jeden tylko biało-zielono malowany domek, opatrzony dzwonkiem; z jednéj strony otaczał go lasek—z drugiéj ciągnęły się topole. Trawniki zdobne kwiatami a dalej sad szedł ze swemi owocowemi drzewami. Ta wyspa to Nonnenwerth — dom klasztorem.

Jeszcze niedawno snuły się tu z okapturzoną głową czyste zakonnice św. Bennona. Szkaplerz okrążał ich piersi—czarne perły ich różańców zsuwały się w rękach—milczenie było na ich ustach i posłuszeństwo, to milczenie woli, w sercu.

Ztąd patrzyły one spokojnie na cmentarzysko, jako na ostatnie miejsce ich wiecznego snu.

Krótką była droga od ołtarza do grobu... droga zda się przed przebyciem jéj poznana, bez burz i katastrof.

Dziś inny tu bóg; mury wstrząsają się niemal na odgłos skocznych pieśni a statua biskupa wskazującego grzesznikom drogę poprawy, wyciąga prawie ręce i wskazywać chce drzwi gościom.

Tu nie pokutnicze gniazdo; nikt już nie przyjdzie prosić przeoryszy o modlitwy..... Podróżny tylko zwiedza ustroń mało się zastanawiając nad jéj przeszłością. Znikły echa ostatnich procesyi i modłów — dziś tylko przyjemny walczyk się rozlega. Chleba nikt teraz tu nie łakomy ani też czystéj krynicznéj wody—tu wino dziś na stole, wino z pucharów się przelewające i ustom pęta zdejmujące. Karczma na miejscu.... kościoła! Świat lichy wcisnął się do poświęcanych miejsc.

Mówią że kiedyś... słyszano tu śpiewy kochanka Hermenegildy, ale było to tak dawno, że ja prawie już zapomniałem.

Więc przyjmując „karczmę za... karczmę“ złożyłem moje graty i kostur podróżny z napisem: „dalej — dalej.“ I upłynął cały dzień w drzew cieniu, przy dzbanie krynicznéj wody i w towarzystwie echa, które powtarzało wszystko jak najdoskonaléj.

Wczoraj wróciłem z pod stóp skał loreleyskich. Ona znikła już, ta cudowna czarodziejka, która w słońcu czesała swój złoty warkocz, i śpiewała głosem tak potężnym, tak słodkim, że oszołomiony żeglarz o czółnie, wiośle i sterze zapomniał śmiercią zachwyt przypłacając.

Nie ma jéj już, téj niemieckiéj syreny z błękitnemi oczyma; opuściła już tę fatalną piędź ziemi odkąd weszła na nią barbarzyńska cywilizacya.

Czarny dym naszych okrętów zbrudziłby pewno jéj suknię... gwar naszych maszyn zagłuszyłby jéj uwodzicielskie arye.

A jednak mówią, że ty wrócisz do nas piękna Loreley. Zważ —nazywasz się „ideałem.“ Niewidzialna dla gromad stajesz za krzesłem poety. On cię rozumie, jest porwany tobą, chwyta za lutnię i zlewa głos swój z swemi akordy. Pała ku tobie miłością—uciekasz... goni za tobą. Uśmiechasz się — w uśmiechu takim wszystko. Wyciąga ręce do ciebie—chwyta za kraj szaty a ty znikasz! I o „rzeczywistość“ rozbija się łódka...

* *
*

Nie wiem, czy ztąd to pochodzi że „muzyka architekturą jest tonów“ — lub „architektura dobrze stężałą muzyką,“ nie wiem daléj czy między temi dwoma sztukami jakie szczególne istnieje pokrewieństwo—lecz wiem że widok staréj katedry zawsze mnie do głębi wzruszał...

Lubię te ciemne otwory pustych naw, przez które przeszło tyle pokoleń z pochyloną głową; lubię te silne słupy, z ich echem lubię, opowiadającém nędzę ludzką, tęsknotę, ból i skargi. Ze drżeniem patrzę na te pnące się w górę, w obłokach utkwione kościelne wieżyczki. One są jako wyniosłe intencye ludzkie bliskie nieba, po błogosławieństwo sięgające. Opowiadano że wieża kolońska ma być skończoną. Ucieszyłem się ztąd chcąc fundusz moim nędznym groszem powiększyć.

— Bierzcie grosz mój przed złotem innych — albowiem sztuka uzacnia i uszlachetnia wszystko. Oto przywiléj artystów: muszą wszędzie i zawsze dawać... choćby sami nic nie mieli!

Fr. Liszt.“

* *
*

A teraz pytam was: czy dziwna że Liszt święcił takie tryumfy?

Tajemnica wybitności mistrza i jego bezprzykładnych sukcessów w tém właśnie spoczywa, iż kształcił on w sobie nietylko geniusz *muzyki*, lecz rozwijał umysł i serce, do wszech sztuk wielkim płonąc ogniem, który potém elektrycznym prądem przebiegł jego istotę.

W liście tym promienieje osobistość Liszta w licznych błyskach, na któreby nie wielu zdobyło się mistrzów tonu.

Ta. Cza.

Z TOALETOWYCH TAJEMNIC.

Zamiłowanie do wszystkiego co... fałszywe, jest cechą naszego wieku!

Ojcowie nasi, gdyby mogli raz jeszcze wstać z grobu, nie mieliby dość rąk dla załamania ich z podziwu nad temi wszystkiemi „imitacyami, surrogotami i kompozycyami“— które dziś tak ważną w człowieczéj komedyi odgrywają rolę, a które wszakże handlowi i przemysłowi wiele nowych, nieznanych dotąd odkryły źródeł.

Pewien „niedyskretniś“—pełzacz buduarowy, wielkie łotrzątko, ogłosił w tych dniach studyum nad fałszywemi włosami i zębami, rozpowszechniającemi się z każdym dniem coraz szerzéj, a używanemi przedewszystkiem w Paryżu i ztąd na cały świat rozapostołowanemi.

Mon Dieu! gdzie te lubéj niewinności czasy w których babki nasze rumieniły się na samą myśl upięcia sztucznego loka?! Wesołe paryżanki kpią dziś głośno z owych *anno...* żyjących prostaczek. Egoizm rozparł się w naszém młodem pokoleniu a słowo „wstydzę się“ odmienia się tylko w czasie przeszłym.

Wejdź tylko do magazynu fryzyerskiego wystawiającego najwspanialsze szyniony kastylijskiéj kruczości i szwedzkiéj bieli — wejdź tylko tam i przysłuchaj się rozmowom tych dwóch istot, zupełnie na obecność mężczyzn nie zważających?!

Proponuję zakład. Oto oświadczam, iż doczekamy czasów w których narzeczonéj na wyprawę składać się będzie kilkanaście tuzinów szynionów.

Pięciopiętrowy okazały dom, wyskubał sobie pewien włosów handlarz. Do dwóch milionów franków obróciła jego firma w roku bieżącym, w owym przemyśle „włosianym.“

W czasach arkadyjskich (połowa bieżącego stulecia), zdobywano włosy z kmiecych głów na jarmarkach. Tu

przypomnieć sobie należy ową chłopkę, która dawszy sobie ściąć przepyszny warkocz dla uzyskania funduszu na zakupno losu —wygrała w tém samem ciągnieniu drobny, czarny grzebyk.

Ale włościańskie głowy nie wystarczały. Wzięto się do głów szpitalnych, przypuszczono szturm do popasowéj stacyi zmarłych i poczęto ich pozbawiać ciężaru za grobem zbytecznego! Gdy i te zasoby się wyczerpały, zawsze dowcipni francuzi z różnych stron świata włosy ściągnęli.

W Paryżu kilkuset szyfonierów (zbieraczy gałganów) bada tylko specyalnie kwestyę włosów w śmietnikach, ztamtąd téż znaczną ilość wyciągając. Mówią że panicze ci potrafią zebrać 14,000 kil.

Porą ich żniwa wiosna i jesień, w których to bolesnych chwilach włosy gromadnie głowy opuszczają.

Niektóre z niemieckich prowincyi, Szwecya i Norwegia dają jasne włosy; czarne w wielkich ładunkach z Węgier przychodzą, z Południowéj Ameryki i z Chin nawet.

Niedawno stanął na kotwicy pod Marsylją okręt naładowany samemi włosami w Mexyku odszukanemi. Włosy te, które w téj chwili zdobią pewno niejedną główkę damy „nie całych światów,“ z martwych są czaszek indyjskich.

A włosy Indyan łyszczą się i mają swoją specyalną czerń. Przeto je poszukują.

Najdroższe są białe włosy; chemja napróżno się sili chcąc ich kolor sztuczny podrobić — tylko siwiznę skopiować można. Biała farba jest dotąd nierozstrzygniętym problematem.

Mimo to na każdym rogu ulicy ten i ów szarlatan zachwala ci swoją metodę odmładzania w kolorze włosów.

Wszędzie w rzeczy téj reklama.

Po tylu rozprawach uczonych doktorów i naturalistów, odwagą jest wzięcie koku na głowę!... Mówią jednak iż jeden z zajadłych przeciwników cudzych włosów, sam zbroi się w perukę!

Za milion franków kupują corocznie farbujące środki. Flakonik, który przekupień za 20 franków podaje, kosztuje go najwyżéj 70 centymów!

Tak więc sztuka „odmładzania“ ludzi nieźle popłaca.

A zęby?

Skrupulatny statystyk liczy 617 dentystów w Paryżu, z których każdy przeciętnie najmniéj w tygodniu 20 zębów... wskrzesił!

Kto potrafi niechaj cyfry te mnoży i ułoży stosunek.

Możesz dostać ząb za 5 franków. Są wszakże szczęki za 5,000 franków, u niektórych *dentistes* zasiadłych przy ulicy Rue de la Paix. Tacy wstawiacze są téż na bulwarach.

Gdybym chciał być niedyskretnym mógłbym powiedzieć że artystka *⁎* ma perukę nad perukami i... ząbki sztuczne nad ząbkami!

Jestem wszakże dyskretny. *Dr. J. P.*

SPORT.

Wyścigi konne w Galicyi 1877 roku.

TOR LWOWSKI.

Spis koni mianowanych do biegu na torze Lwowskim po d. 1 kwietnia 1877 r.

Piątek, dnia 29 czerwca.

Bieg III Nagroda cesarska I klasy 3,000 *złr. w. a.*

Meta 4,000 metrów.

		Waga kilogr.
1.	W. Alfreda Mysłowskiego og. gn. 5 letni *Piorun* po Rama od Star.	68½
2.	Hr. Jana Tarnowskiego z Dzikowa og. gn. 3 letni *Giaur* po Giles I od Diany	55½
3.	W. Kaliksta Ochockiego og. kaszt. 5 l. *Ganimed* po Złotolitym od Perły	68½
4.	Hr. Kolomana Almazy młodszego og. kaszt. 5 l. *Boomerang* po Buccaneer od Fair Star	68½
5.	Hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa młodszego og. kaszt. 3 l. *Kasper* po Grimston od pani Piperkowskiéj (pół krwi)	52
6.	Tenże mianuje hr. Stefana Zamoyskiego og kaszt. 3 let. *Old-England* po Rama od Koncesyi.	55½
7.	Hr. Hugona Henckel v. Donnersmarck starszego og. gn. 5 l. *Talisman* po Giles I od Sexagesima	68½
8.	Tegoż samego og. gn. 4 l. *Monthalon* po Giles I od Cartouche	69
9.	Bar. Aleksandra Bethmann og. gn. 4 l. *Rococo* po Challenge alho Compromise od Frolie.	65
10.	Hr. Jan Sztaray mianuje ks. B. Czetwertyńskiego kl. gn. 4 l. *Miczi* po Carnival od Gipsy Girl	66
11.	Ks. Pawła Esterhazy og. kaszt. 4 l. *Justice to Kladrub* po Blair—Athol od Chaperon	65

Niedziela dnia I lipca.

Bieg II Nagroda cesarska II klasy 2,000 *złr. w. a.*

Meta 2,400 metrów.

		Waga kilog.
1.	W. Artura Cieleckiego og. kaszt. 3 l. *Humor* po Appenine od Hungaryi	56
2.	W. Alfreda Mysłowskiego og. gn. 3 l. *Grubcio* po Sygnale od Prima Donny (pół krwi)	53½
3.	Hr. Jana Tarnowskiego z Dzikowa og. gn. 3 l. *Giaur* po Giles I od Diany	56
4.	Tegoż samego kl. kaszt 3 l. *Salamandra* po Salamander od Last—Trial	54½
5.	W. Kaliksta Ochockiego kl. gn. 3 l. *Alice* po Volunteer od Juliette	54½
6.	Tegoż samego og. skgn. 3 l. *Orkan* po Złotolitym od Zawieruchy	56
7.	Hr. Kolomana Almasy młodszego og. kaszt. 5 l. *Boomerang* po Buccaneer od Fair Star (*)	
8.	Hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa młodszego ogier kaszt. 3 l. *Kasper* po Grimston od pani Piperkowskiéj (pół krwi)	53½
9.	Tegoż samego kl. gn. 3 l. *Porcja* po Grimston od Haliczanki	54½
10.	Tenże mianuje hr. Stefana Zamoyskiego og. kaszt. 3 l. *Old England* po Rama od Koncesji	56
11.	Hr. Hugona Henckel v. Donnersmarck starszego og. kaszt. 3 l. *Camillo* po Cambuscan od Patti	58
12.	Tegoż samego og. kaszt. 3 l. *Carlburg* po Lord Lyon od Lady Wentworth	56
13.	Bar. Aleksandra Bethmann og. gn. 3 l. *Pfeil* po Challenge albo Compromise od Leah	56
14.	Ks. Pawła Esterhazy kl. gn. 3 l. po Liddington od Fair Star	54½

Hodowla koni. *Stado janowskie (dokończenie).*

Tak więc od kilkunastu lat stado janowskie widocznie chyliło się do upadku; posiadało jednak jeszcze bogaty zasób dobrego materyału w klaczach, szczególniéj w starszych; a nawet i między młodszemi znajdowały się takie, w których ustalona rassa ich matek oparła się wpływowi nieodpowiednich reproduktorów.

(*) Mylnie mianowany—płaci wycofanie.

Brakowało głównie ogierów celnych, któreby mogły poprawić złe następstwa wynikłe z nieoględnego wprowadzania obcych do stada żywiołów, a tém samém uczynić go prawdziwie pożyteczném dla poprawy rassy koni krajowych, których hodowla tak powszechnie jest zaniedbana. Można było tego z łatwością dokonać, nawet w stosunkowo krótkim przeciągu czasu, przez staranne i umiejętne wybrakowanie stada i sprowadzenie ogierów pełnej krwi, posiadających niezaprzeczone warunki dobrych reproduktorów, jak niemniéj przez powtórne wprowadzenie do stada czystéj krwi arabskiéj.

Liczba koni w stadzie oznaczona etatem wynosiła 375, to jest ogierów celnych 5, klaczy matek stadnych 100, młodzieży 150 i ogierów prowincyonalnych 120, z których 24 znajdowały się na ciągłéj posłudze w Belwederze. W razie zaś zjazdów lub rewii, większa jeszcze liczba ogierów prowincyonalnych, używaną była na posługę dworu pod wierzch i do zaprzęgu. Potrzeba tego rodzaju okazywała się nieraz tak nieodzowną, że nawet w porze stanowienia sprowadzano te konie ze stacyi stadnych.

Że utrzymanie stada bez znacznego zasiłku pieniężnego z funduszów skarbu obejść się nie mogło, pochodziło to z kilku przyczyn. Wspomnimy naprzód zbyt niską opłatę za użycie ogierów prowincyonalnych do klaczy prywatnych. Osiągnięty ztąd dochód nie pokrywał nigdy wydatków poniesionych na utrzymanie ogierów na stacyach i wydział stadny przymuszony był corocznie znaczną summę ze swojéj dokładać kassy. Po powrocie ogierów ze stacyi, zakład stadny utrzymywał takowe na stajni; licząc zaś przeciętnie po 3 garnce owsa, 10 funtów siana i 5 funtów słomy dziennie na każdego konia, sam furaż dla 120 koni przez 8 miesięcy w roku kosztował podług cen miejscowych do 8,000 rs.

Oprócz tego z pomiędzy 100 klaczy stadnych, zostawało corocznie około 60 jałowych, których utrzymanie zimowe, licząc tylko sam furaż, kosztowało do 4,000 rubli. Były to wydatki nieuniknione; lecz można było wynaleść źródła, któreby je w części pokrywały, nie czyniąc przytém uszczerbku dla stada.

Głównym celem utrzymywania stada rządowego, jest poprawa rassy koni krajowych; szczególniéj zaś najużyteczniejszych i najpotrzebniejszych, w naszym kraju przeważnie rolniczym, to jest koni włoscianskich i w ogóle roboczych; i téj kategoryi ogiery powinny być udzielane za bardzo nizką płatą. Lecz hodujący konie zbytkowe, mogliby i powinniby się nie wahać wnosić znacznie wyzszą opłatę za użycie ogierów odpowiadających ich widokom, przez co dochód z tego źródła mógłby być bardzo pomnożony, i nietylko pokryć wydatki utrzymania ogierów na stacyach, ale nawet w części ich utrzymania zimowego. Z drugiéj znów strony też same ogiery powróciwszy na zimowe leże, mogłyby być bez wysilenia użyte do niektórych posług w obrębie zakładu stadnego, coby także miało dobry wpływ na ich zdrowie i rozwinięcie sił muskularnych. Podobnież i jałowe klacze mogłyby być użyte w gospodarstwie rolném do zwózki siana i snopków, co równie na ich zdrowie i rozwinięcie sił muskularnych, miałoby wpływ zbawienny i bez wątpienia powiększyłoby ich płodność, a zakładowi stadnemu przyniosłoby znakomitą oszczędność w najmie sprzężaju, którego wychodziło rocznie w zakładzie i gospodarstwie około 3,000 dni. po cenie od 35 do 40 kopiejek.

Z tychże samych koni, stosowna liczba mogłaby być przeznaczona na konie służbowe dla urzędników i oficyalistów, mających obowiązek jeżdżenia w obrębie zakładu stadnego, zamiast wydawania furażu na utrzymanie ich własnych koni, co właściwie powinnoby być wzbronione.

W celu takiego użycia koni stadnych, które w wieku lat 5 skończonych zaczynały być użyte do rozpłodu, należałoby wszystkie ogierki i klaczki już w piątym roku życia przysposabiać stosownie do ich kwalifikacyi, pod wierzch, lub do zaprzęgu, przez co także możnaby sądzić o ich zdolnościach i wnioskować o ich użyteczności na przyszłość.

Trzypolowe gospodarstwo rolne nie przynosiło żadnéj korzyści, wypadało więc albo zaprowadzić płodozmian odpowiedni miejscowości i potrzebom stada, z przeznaczeniem w rotacyi połetek na pastwiska dla koni stadnych; przez co produkcya rolna znaczniéby się powiększyła i zapewniłaby większą ilość furażu dla stada, w części w naturze, a w części za mogące się sprzedać produkta, oraz przysporzyłaby ilość pastwisk; albo też należało gospodarstwo rolne zupełnie zwinąć, jako więcéj strat niż pożytku przynoszące. Kultura łąk również mogła wpłynąć na powiększenie sprzętu siana.

Tym więc sposobem i przez niektóre zmiany w administracyi, nakłady na utrzymanie stada mogłyby być w części zmniejszone, byt jego poprawiony i korzyść dla kraju zapewniona.

W roku 1866 stado janowskie przeszło pod ogólny zarząd stad w Cesarstwie.

Regaty. *Oxford i Cambridge.* W dniu 24 marca r. b. odbyły się na Tamizie doroczne wyścigi regat pomiędzy studentami dwóch sławnych uniwersytetów w Oxford i Cambridge, znanych pod nazwiskiem Oxonianów i Kantabów; pierwsi odznaczają się flagą ciemno niebieską, ostatni flagą jasno niebieską. Każda z regat posiada po 8.miu wioślarzy i po jednym sterniku, *Coxwain.* Młodzi ci ludzie wybrani przez oba uniwersytety, odbywali trenning przez czas trzechmiesięczny, i ćwiczenia nieustanne na małych rzeczkach *Isis* i *Kam* przerzynających miejscowości Oxford i Cambridge; a oprócz tego wydoskonalali się ostatecznie w wiosłowaniu na Tamizie przez tygodni trzy w miejscu przeznaczoném na tor wyścigowy pomiędzy Putney i Mortlake.

Po odbytem ważeniu, oskultowaniu i dokładném obejrzeniu przez sędziów składających ekwipaże studentów, rozpoczął się wyścig o godzinie $8^1/_2$ z rana, w obec przeszło 300,000 widzów znajdujących się po obu stronach Tamizy na wszystkich statkach, debarkaderach, platformach, we wszystkich willach i ogrodach, oraz na parowcach krążących wzdłuż toru wyścigowego.

Sport ten jest również popularnym w Anglii jak i sport koński i ściąga ciekawych w niemniejszéj liczbie jak i wielkie Derby; na tegoroczne regaty już od trzeciéj z rana bez względu na deszcz i niepogodę, tysiące ludzi zalegało miejsca najdogodniejsze do patrzenia. Całą tę massę kilkokroćstutysięczną utrzymywało we wzorowym porządku zaledwie 2,500 konstabli rozrzuconych po obu stronach rzeki.

Studenci odbywają wyścigi te, jedynie dla honoru, bez żadnych zakładów; pomimo że pomiędzy publicznością stale rozgrywają się wielkie summy pomiędzy zwolennikami Oxfordu lub Cambridge.

Ekwipaż oxfordzki w ostatnich dniach ćwiczeń na Tamizie, tak wielkie poczynił postępy, że stał się ulubieńcem publiczności i niezmierne za nim zakłady sypnęły się; przy ciągnieniu losu dostał mu się wybór miejsca, to jest strony po któréj chciał płynąć; przy ruszeniu z miejsca wysunął się o parę yardów naprzód; ale wkrótce doścignionym został przez Kantabów; i w rzeczy saméj wystawić sobie trudno z jaką dzielnością i nieustającą energią odbywały się te wyścigi trwające minut 24 i $6^1/_2$ sekund. Każde poruszenie rąk odbywało się z całą dokładnością matematyczną; oba czółna ciągle równo z sobą szły, a najwięcéj jeżeli które z nich wysunęło się przed drugiém o 4 lub 5 yardów nigdy zaś o całą długość swoją. Przy saméj mecie wystawiona przez kogoś chustka ciemno-niebieska jako zwiastun wygranéj przez Oxford, w błąd wielu wprowadziła; okazało się jednak, że reprezentanci obu uniwersytetów równocześnie przybyli do mety.

Sędzia wypowiedział swój *deat heat*, martwy wyścig, co od założenia w r. 1829 regat uniwersyteckich pierwszy raz się zdarzyło.

Zakłady wszystkie runęły w przepaść; publiczność zadowolona z takiego rozwiązania wyścigu, powróciła w największym porządku o godzinie 11-éj do Londynu. Naoczni świadkowie opowiadają że nie słyszano nigdy w czasie regat, tych oklasków i okrzyków jakie w tym roku wydawali Londyńczycy na cześć niezwyciężonych, ale świetnie odznaczonych ekwipaży obu uniwersytetów.

Miscelanea. (X.) Porucznik Zubowicz powtórzył w Wiedniu próbę przepływania Dunaju konno za pomocą wynalezionego przez siebie przyrządu.

Przyrząd ten składa się z dwóch kauczukowych worków $2^1/_2$ stóp długich a $1^3/_4$ stopy szerokich, które nadęte powietrzem spinają się rzemykami pod brzuchem i nad grzbietem konia. Użyty w tym celu 15 letni wybrakowany koń wojskowy, mimo wagi 125 kilogramów, zanurzał się płynąc, tylko po piersi.

Porucznik Zubowicz przepłynął na nim Dunaj poniżéj mostu „Reichsbrücke" w przeciągu $7^1/_2$ minut mając wodę tylko do kolan. Licznie zgromadzona pomimo dnia dżdżystego publiczność, powitała jeźdźca po udanéj próbie głośnemi okrzykami zadowolenia.

Następna próba pod Pesztem o mało nieskończyła się smutnym wypadkiem dla porucznika Zubowicza. Zaufany bowiem w doskonałości swego przyrządu porucznik Zubowicz na wynajętym dorożkarskim pegazie, dokonać chciał przepłynięcia Dunaju; na środku wszakże rzeki, koń czy to w skutek kurczu, czyli też utraty równowagi z powodu silnéj fali, poszedł na dno rzeki z jeźdźcem i gdyby nie łódź ratunkowa nieopodal znajdująca się, jeździec z koniem niechybnie zginęliby w nurtach Dunaju.

J. N.



Duke ogier kasztanowaty (Suffolk) w Anglii urodzony. Matka po Marquis, ojciec Duke, własność hr. Ludwika Krasińskiego.

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski.** — Дозволено Цензурою, Варшава 7 Апрѣля 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa, Nowolipki, 2406 (3).

Redakcya i główna ekspedycya w Warszawie w kantorze drukarni J. Ungra, Nowolipki Nr. 3.